

Smok, zgrana ekipa z SP Antoniów i gołębie



Krak-1

Smok, zgrana ekipa i gołębie, czyli jak (prze)żyć wycieczkę do Krakowa i nie zginąć od nadmiaru atrakcji. Wszystko zaczęło się od niewinnego pomysłu: "Jedźmy do Krakowa, będzie fajnie!" 12 maja my, tzn. uczniowie klasy 4 i 7 wraz z naszymi opiekunkami: p. Marzeną Pikos i p. Gabrielą Korzeniec spakowaliśmy plecaki, optymizm i wygodne buty. Reszta potoczyła się szybko...Podróż busikiem w towarzystwie P. Grzegorza- najlepszego organizatora i kompana wyprawy, upłynęła szybko i bezproblemowo. Wkrótce stanęliśmy u wrót królewskiego miasta.

Kraków przywitał nas pełen uroku, historii i gołębi z podejściem jak ochroniarze na koncercie - niczego się nie bały.

Rozpoczęliśmy nietypowo -od Parku Laserowego. Z zewnątrz niepozorny, w środku - galaktyczna wojna w ciemności. Przez godzinę biegaliśmy z karabinami świetlnymi wśród fluorescencyjnych ścian. Było bosko. I mokro od potu.

Później przeszliśmy do klasyki- Rynku Głównego. Tam, pośród turystów, gołębi i ludzi, zgłębialiśmy tajniki królewskiego miasta. Pani przewodnik mówiła szybciej niż Google Translate - co tylko dodało uroku. Potem - dla równowagi emocjonalnej - McDonald's. Nie pytajcie. Musieliśmy. Krótkie schronienie, frytki terapeutyczne i powrót na trasę.

Nie ma Krakowa bez Wawelu. Zatem wdrapaliśmy się na wzgórze, gotowi na duchową podróż. Na dziedzińcu zamku zapanowała chwila ciszy, nikt nie narzekał. Podążaliśmy fascynującym labiryntem historii, gdzie człowiek zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma tam jeszcze kogoś żywego z XIII wieku. A groby? Mistyczne i lekko niepokojące.

Nie obyło się bez obowiązkowego wejścia na wieżę z Dzwonem Zygmunta. Jak na turystów przystało i jak nakazuje tradycja- uderzyliśmy w niego na szczęście, na zdrowie, na miłość i być może na zakwasy w ramieniu. Teraz czekamy na milion w totka. Po wizycie u królów pomaszerowaliśmy do smoczej jamy. Smok Wawelski zionął na nas ogniem, jakby próbował nas upiec na kolację.

Po wielogodzinnym marszu udaliśmy się do hotelu. Szybkie zakwaterowanie, chwila na złapanie oddechu, pyszna obiadokolacja i ponownie ruszyliśmy na wieczorny podbój miasta. Rozpoczęliśmy go od rejsu po Wiśle. W świetle zachodzącego słońca Kraków prezentował się bajecznie. Widoki piękne, wiaterek przyjemny, ale największą atrakcją było zdobycie dyplomu Odkrywcy Wodnych Szlaków Krakowa. Każdy z nas miał również możliwość wcielić się w rolę sternika i co najważniejsze, nie rozbiliśmy łajby- szczęśliwie przycumowaliśmy w porcie. Powoli nadciągał zmrok, ale nam nie są straszne ciemności- pomaszerowaliśmy na Stare Miasto. Spustoszyliśmy sklepiki z pamiątkami, po czym udaliśmy się na przejażdżkę przepięknie oświetlonymi dorożkami. Czuliśmy się wyróżnieni z tłumu, chociaż nasz ubiór niezupełnie pasował do wystroju dorożek, ale i bez niego zabawa była prawdziwie w królewskim stylu. Moc wrażeń i późna pora zmusiły nas do powrotu w hotelowe zacisze. Może nie do końca zacisze, ale na pewno do bezpiecznej przystani. Czekająca nas długa noc...I tu postawimy kropkę w temacie. Co się działo, niech pozostanie naszą słodką tajemnicą. I chociaż

rano ciężko nam było „zwlec się z wyrka”, to punkt ósma wszyscy stawiliśmy się na zbiórkę. Trochę ponarzekaliśmy na niewyspanie, ale pyszne śniadanie postawiło nas na nogi i pełni wigoru ruszyliśmy na dalszy podbój Krakowa. Pierwszym celem było Muzeum Lotnictwa Polskiego. Ogromne hangary, samoloty z każdej epoki, śmigłowce, kokpity i ...my, próbujący zrozumieć, jak to wszystko latało. Wielu z nas po tej wizycie nie tyle zyskało szacunek do pilotów, co straciło złudzenia o własnych zdolnościach technicznych. Ale było warto. Po zdobyciu wiedzy teoretycznej udaliśmy się na sprawdzian praktyczny, czyli warsztaty modelarskie. Naszym zadaniem było złożenie modelu śmigłowca. Skromnie dodamy, że poszło nam wyśmienicie. Po „lotniczych” atrakcjach potrzebowaliśmy ruchu. Padło na Ogród Doświadczeń im. Stanisława Lema- czyli miejsce, gdzie nauka spotyka zabawę, a człowiek kreci się na wirujących krzesłach jak w lunaparku fizyki. Dowiedzieliśmy się, że grawitacja działa. Naprawdę. Pomału nasza przygoda dobiegała końca. Wzruszeni, zmęczeni i trochę głodni zatrzymaliśmy się w...McDonald's. Tak, to nie wstyd. Frytki ocaliły nasz poziom cukru. Kraków to miasto- legenda. Historia, smoki, lasery, rejsy, lotnictwo...- wszystko w jednym miejscu. Nie da się go ogarnąć w dwa dni, ale można spróbować. Czy przeżyliśmy? Tak! Czy wrócimy? Zdecydowanie. Nie pominiemy też McDonalda, bo każdy bohater zasługuje na frytki. Pragniemy serdecznie podziękować Biuro Podróży Agricola na czele z P. Grzegorzem za niezapomnianą przygodę. Do szybkiego zobaczenia